

KRONIKA PARYŻKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Chants héroïques et Chansons Populaires des Slaves de Bohême” przekład francuzki Ludwika Léger, z notami. — „Bogini ubóstwa” czeska ballada — „Kobieta uboga w XIX wieku” przez pannę Daubié, doktora filozofii. — Jan Reynaud. — „Wrażenia” panów Goncourt: ich wizerunek psychologiczny — Akadematka Laprade „Poczucie natury przed chrześcjanizmem.” — „Affaire Clemenceau” powieść Dumasa syna. — Wiadomości literackie.

Podczas kiedy wojna na nowo zbroczyła krwią przesiąkną ziemię czeską, a zapomniany ten kraik ściągnął z tego powodu uwagę całej Europy, Ludwik Legér, młody Francuz nauczony języków słowiańskich przez Alexandra Chodźkę, wydał z notami z oryginalnych tekstów dokonany przekład *pieśni słowiańskich czeskich*, pod tytułem: „*Chants heroïques et chansons populaires des Slaves de Bohême.*”

Prostota, czystość i wzniosłość słowiańskich pieśni, dziwnie odbija przy miejscowych i uwydatnia więcéj jeszcze swywołę pieśni francuzkiéj. Poetyczne i rzewne w Polsce, całych Niemczech, w Italii, Grecyi i Hiszpanii, śpiewy ludowe we Francyi stały się bezwstydné, albo poziome; francuzka piosnka wyszydza wszystko co idealizując wielbią inno-krajowe: znieważa kobietę, miłość błotem obrzuca. Wyjawszy starych pieśni których coraz cichszą nutę można jeszcze gdzieś na zapadléj prowincyi usłyszeć, to co śpiewają Francuzi sprosne jest obok pieśni innych narodów. Nad Wisłą, nad Dniestrem, nad Po i Mincio, szumią melodye powietrzne pełne miłosnej tęsknoty, brzmią hymny bohaterские, płacze naiwna elegia, słyhać mistyczne pienia, albo swiergotanie słów i tonów tak świeże, że się naśladowaniem skowronka wydaje.

Nad Sekwaną słyhać same dwuznaczne koncepta, zwrotki składane w złodziejskiém narzeczu, jarmarcznych

skoczków wrzaski, albo pijackie wykrzyki. Pieśń cudzoziemska kwiaty sypie skoro otworzy usta, piosnka paryżka jak owa przekłeta dziewczyna z *Walpurgisnacht*, rude myśzy wypuszcza z pomiędzy białych zębów.

To porównanie nasuwa przekład francuzki śpiewów czeskich: w oryginale zbliżenie mniejsze, mniej uwydatnia różnicę. Książka pana Legér, w chwili kiedy pożar wojny ogarnął czeskie chaty, a huk dział powystraszał słowiki z jodłowych lasów Schreckenstejnu, zawitała do Paryża jako migracya ptaszków obcych, spłoszonych ze swojej ziemi jakimś straszliwym kataklizmem natury. Francuzom te pieśni dały poznać poetyczność i oryginalność tego słowiańskiego plemienia, zalanego przez Niemcy, a zachowującego pomimo to, swój język, piśmiennictwo, tradycye i pieśni gminne „stojące na straży pamiątek narodowego kościoła.”

„Czem słowik pomiędzy ptakami, tem Słowianin pomiędzy narodami.” Ta definicya czeskiego poety ciągle na myśli stoi przerzucającemu czeskie piosneczki, rozgłosne jak rulady słowicze wśród wiosennej nocy. „Gwiazdeczko! blada gwiazdeczko! gdybyś ty miłość znała, gdybyś ty serce miała, zapłakałabyś skrami” powtarza czeska zwrotka, sama podobna do racy wypuszczonej ku niebu i spadającej srebrnemi łzami na bladą twarz smutnego kochanka.

Dziwią się Paryżanie, iż pieśń słowiańska zawsze w niebo patrzy. To ich mianowicie zdumiewa, że w tych strofach miłosnych, nawet rozkosz czystemi wyraża się obrazami. Jakoż, tak jest w istocie. Grecy poeci *drogę mleczną* z łona bogini wywiedli; czeski bard do gwieździstego nieba porównał pełne pocałunków usta swojej kochanki. „Niema na niebie gwiazd tyle, ile mi moja miła dała pocałunków; póki świat światem, nie będzie gwiazd tyle.”

Dziwią się także Francuzi, że w pieśniach Północy słyhać echa greckiej poezyi. Miłą niespodziankę im czynią zwrotki, porównania i przenośnie subtelnością swoją przypominające najprzedziwniejsze epigrammata *antologii*. Niespodzianka prawdziwa! Czyni to wrażenie, jakby kto w Karpatach rwał laury różowe, któremi zapłonione Apenniny. Paryż oczyszczonego Theocrita znalazł niespodzianie

w górach czeskich i porównywał sycylijską sielankę z poważną pieśnią, w której zaczepiona Słowianka udaje powolną żeby kusiciela swojego bardziej zawstydzić. Przy jednakiej formie różnica ducha ogromna: w łacińskiej sielance ucho satyra się pokazuje i nie straszy pogańskiej pasterki; w sielance słowiańskiej podobnej treści, z pod czapki pastucha róg szatański wychodzi a dziewczyna przeżegnawszy się krzyżem świętym, w las umyka.

Piosneczka o stłuczonym dzbanie, wypadek opisany wszelkimi językami, ale przez każdy naród inaczej pojęty, inne nastrocza porównanie. Dzieweczka grecka smutnie zadumana nad swoją szkodą, nie śmie żądać wynagrodzenia. Moralniejsza wieśniaczka czeska zdobywa się na odwagę i nie przepuszcza płazem psotnikowi. „Chociaż pan jesteś — woła — zapłać mi za mój dzban!” i póty płacze, aż pan ofiarowawszy pierwój daremnie wiele rzeczy, ofiaruje wiochnie swoją rękę: „Wtedy dziewczyna już nie nie żądała, za dzbana dostała pana.”

Zupełny brak wesołości sprawia, że pieśni czeskie nie mogą mieć szczerzej sympatyj Francuzów: chwala je, podziwiają, ale ich nie czuje naród, w którego bogatej mowie niema słowa na wyrażenie uczucia *tesknoty*. Miłość także inaczej tu pojmują: na Północy ona zawsze prawie wzdychająca lub zapłakana; na Południu, a mianowicie we Francyi, nie znają takiej; kochanie tu znaczy jedno co rozkosz, niestałość nie da nigdy doczekać skonu miłości; lekkomyślność na seryo jej wybryków nie bierze: cały stosunek francuzkich miłostek zawarty w tém znaném powiedzeniu jakiegoś polskiego filozofa: „Pani łaskawa — człowiek szczęśliwy; pani nie łaskawa — człowiek zdrów.”

Przy takiem usposobieniu powszechném płci obojęd, miłosna melancholia rozlana w pieśniach czeskich podobać się nie może: Francuzi uważają ich ton łzawy za chorobę, albo téż, gdzieindziej niż w srogości kochanki szukając lez przyczyny, powiadają: „l'esclave pleure.”

Pragnienie poznania tajemnic przyszłego życia, męczące szczep słowiański, także wcale plemieniu Franków nie znane a przebijające w pieśniach czeskich, podobnież na karb chorobliwości policzyli Paryżanie. Przesąd ludu czeskiego w trupach upatruje życie, uplastyczniając tak sobie

przecucie nieśmiertelności duszy, na której pojecie i wyrażenie wątku myśli i słów zabrakło. W łańcuchu Karpat zachodnich dzielącym Czechy od Bawaryi, urodził się upiór krew ssący. Z okolic *Schreckenstejnu* pochodzą *Willisy*, owe narzeczone umarłe, które zachowały dziewiczą ochotę do tańca i wykradłszy się z trumny, w nocy na połoninach lasu tańczą. „*Schadzka cmentarna*” pokazująca młodzieńca rozmawiającego z pochowaną kochanką, jakby przez drzwi wieczności, wydała się paryżkim krytykom chorobliwa jak *Nocturno* Chopina, które muzycy Zachodu za melodyjne uważają obłąkanie.

Jakoż, chorobliwej fantazyi jest podostatkiem w osnowie piosnek czeskich. Czemże są skrzypce Hoffmana zamieszkałe przez zakłątą duszę, obok skrzypcy czeskich, wyciętych z ciała dziewczyny zamienionej w drzewo przez matczyne przekleństwo. Treść téj piosneczki mało znanéj, przytoczyć warto:

Dwóch muzykantów młodych podróżowało. Idąc lasem, jeden mówi do drugiego: „patrz bracie, jaki śliczny jawór; wykrojmymy z niego skrzypce: zrobimy dwoje skrzypiec i będziemy grali obaj.” Za pierwszym cięciem drzewo westchnęło, za drugim, krew pociekła... za trzecim, drzewo przemówiło: „nie krajcie mnie! nie jestem z drzewa, ale z ciała i kości. Jestem dziewczyna z pobliskiej wioski: matka mnie przeklęła, kiedym wodę brała i z moim miłym igrała. Idźcie muzykanci i zagrajcie matce podedrzwiami na ciele córki.”

„Muzycy grać zaczęli, a matka w płacz... i prosi: nie grajcie! bo mi serce krajecie. Już mam dość kary że córki nie widzę: biada matce, która przeklina swoje dzieci.”

Piosnek żołnierskich jest wiele w zbiorze p. Legér. Te najżywsze obudziły zajęcie w chwili, kiedy Czechy w szeregach Austrii giną. Jednak treść tych pieśni starych pokazuje, że inne dawniej było usposobienie Czechów: opiewają boleść, z jaką biały mundur wdziewają, jak potem giną marnie pomiędzy obcymi. Telegraf teraz inszą piosnkę nam śpiewa. Ostatnia zwrotka starego poematu nieznanego żołnierza, pokazuje go leżącego na polu bitwy z głową rozciętą na dwoje: „Konik wrony nad nim stoi,

grzebie nogą i o siano prosi... Ale żołnierz martwy nie wstanie: zginął marnie, bez śladu!"

Szkoda że tłumacz francuzki nie ukoronował swojego zbioru, najwznioślejszą z pieśni czeskich, którą p. Sand na francuzkie przełożyła. Chcąc przypomnieć czytelnikom naszym ten najpiękniejszy a mało znany utwór czeskiej muzy, podajemy polskie tłumaczenie „*Bogini Ubóstwa*” ballady bez podpisu, jak *Iliada*.

„Złocistym piaskiem wysypane drogi, łąki zielone, miłe jeleniom wzgórza, wielkie góry gwiazdami uwiecznione; bystre potoki i ciemne lasy—przepuście, przepuście dobrą boginię ubóstwa.

„Odkąd świat światem, odkąd ludzie żyją, chodzi ona po ziemi, z biednymi mieszka, wędruje i śpiewa; śpiewa i pracuje, bogini, dobra bogini ubóstwa.

„Byli tacy co przekląć ją chcieli, gdyż im się zbyt piękna, zbyt wesoła i zbyt silna wydała. Połammy jej skrzydła, okujmy w łańcuchy.. zabijmy ją—wołali—niechaj cierpi, niechaj zginie, bogini ubóstwa.

„I skępowali biedną boginię, bili i męczyli, ale jej spodzić nie mogli: schroniła się w dusze poetów, wieśniaków, męczenników, w dusze świętych, dobra bogini ubóstwa.

„Więcej ona chodzi niż żyd wieczny, więcej wędruje niż jaskółka; starsza jest niż prągska katedra; młodsza niż jajko słowika; gęstsza na ziemi niż poziomki na Boehmerwaldzie, ta dobra bogini ubóstwa.

„Dużo ma dzieci i nauczyła ich tajemnicy Bożej; przemówiła do serca Jezusowego na górze; do ócz Libussy królowej, kiedy się w rolniku zakochała; do ducha Jana i Hieronima na konstancyńskim stosie; wie ona więcej niż wszyscy doktorowie i mędrcy, ta dobra bogini ubóstwa.

„Ona to czyni zawsze największe i najpiękniejsze rzeczy, jakie na ziemi widać, ona uprawia pola i drzewa hoduje; ona pędzi trzody, najładniejsze śpiewając piosneczki; ona widzi wschodzącą jutrzenkę i najpierwszy pocałunek słońca dostaje, ta dobra bogini ubóstwa.

„Ona chatę gajowego w zielone gałęzie stroi i daje jemu wzrok orli; ona najpiękniejsze piastuje dzieci; ona pług

i motykę lekkimi czyni w rękach starca, ta dobra bogini ubóstwa.

„Ona daje natchnienie poecie, a skrzypcom płakać każe w rękach grajka wędrowca; ona na swoich skrzydłach go nosi od Mołdawy do Dunaju; ona głowę lirnika perłami rosy koronuje: dla niego gwiazdy na ciemném niebie wyiskrza, ta dobra bogini ubóstwa.

„Ona rzemieślnika uczy krajać kamienie, marmur i złoto urabiać, kuć żelazo i miedź topić. Ona w rękę podeszłej matki i dorodnej córki, len czyni miękki i cieński jak włosy, ta dobra bogini ubóstwa.

„Ona podpira chatę burzą zachwianą; ona oszczędza żywicy w pochodni a w lampie oleju; ona chleb rodziny gniecie, tka odzież letnią i zimową. Ona karmi i podsyca świat, ta dobra bogini ubóstwa.

„Ona pobudowała wielkie pałace i stare katedry; ona dźwiga karabin i szablę; ona wojuje i zdobywa; ona zbiera umarłych, opatruje rannych i osłania zwyciężonych, ta dobra bogini ubóstwa.

„Jesteś samą słodyczą, samą cierpliwością, samą siłą i miłosierdziem, o! dobra bogini! Ty dzieci swoje wszystkie spajasz świętą miłością, dajesz nieszczęsnym wiarę i nadzieję o! bogini ubogich.

„Dzieci twoje przestaną kiedyś świat dźwigać na barkach, będą wynagrodzone za znój i pracę; czas niedaleki w którym nie będzie już ani biędnych ani bogatych, kiedy ludzie spożywać będą owoce ziemi i zarówno używać dobrodziejstw Bożych. Ale ty wtedy nie będziesz zapomniana w ich hymnach, dobra bogini ubóstwa.

„Przypomną sobie iż była ich matką płodną, ich silną mamką, ich wojującym kościołem. Więc balsamem poleją twe rany i z ziemi odmlodzonej uczynią tobie łożo, na którym nakoniec spocząć będziesz mogła, o! bogini!

„Czekając na dzień ten boży, potoki, lasy, góry i doliny, łąki kwieciem zasiane, małe ptaszęta i drogi złocistym piaskiem wysypane, które nie macie pana, przepuście! przepuście! dobrą boginię ubogich.”

Panna Julia Daubié, doktoryzowana przed kilku laty przez wydział literacki Lyoński, wydała książkę pod tytułem: „*Kobieta uboga w XIX wieku*”. (La Femme Pauvre au dix-neuvième siècle). Przeglądając książkę na wrywki, czytelnik napotka w niej nie jeden wyraz rażący, nie jeden nazbyt ostry sąd; jednak, niechże się tą młodzieńczą szorstkością nie zraża: czytając uważnie, przekona się, że to praca gruntowna, pełna ciekawych szczegółów, wcale nie deklamatorska, chociaż tu i owdzie retoryką trąci.

Wyznać trzeba że autorka nie bada swojego przedmiotu ze spokojną pogodą. Sama skromna i zrezygnowana, na dolę płci swojej patrzy z goryczą, najmniejsze nadużycie mocno czuje, może zbyt mocno. To są słabe strony panny Daubié, nie bardzo rażące teraz, kiedy ludzie zbyt łatwo wchodzą w *racye* a raczej, *nieracye*, każdego. Cóżkolwiek-bądź, ta filantropijna namiętność dla pięknej połowy rodu ludzkiego, jest kluczem do wszystkich wad i zalet autorki. Ona to skłoniła ją do długiego i mozolnego badania, z którego wynikła książka; ona bystrzejszą ją czyni, daje jasnowidzenie i nieublaganą logikę jej rozumowaniu.

Chociażby nie na pisała, panna Daubié zasługuje żeby zapamiętano jej nazwisko; gdyż pierwsza we Francyi podjęła trudności doktoryzacyi i wyszła z nich z dyplomem. Potrzeba było rzadkiej mocy charakteru, żeby powziąć zamiar taki, w kraju gdzie doktoryzacya kobiety jest jeszcze śmiesznością. Moc tę, więc jeszcze cenić trzeba dowiedziawszy się, że nie była podtrzymywaną przez *próżność*, tę zwykłą sprężynę lepszych czynów: nie o tytuł doktora chodziło pannie Daubié: był to dla niej środek, przez który chciała dojść do wyższego celu. Dając przykład w otrzymaniu doktoryzacyi, chciała kobietom ubogim, na wieczną pracę skazanym, otworzyć drogę do korzystniejszego zawodu w sztukach wyzwolonych, lub administracyjnych.

Oto jej rozumowanie, nie francuzkie, ale amerykańskie:

„Jeżeli, mówi, będziemy czekały aż nas wydzwigną z nędzy w której pozostajemy, poczekamy długo. Lepiej same urządzmy losy nasze. Potrzebujemy być doktorami, notaryuszami, poborcami, bankierami i t. p. Ażeby nimi zostać, trzeba nam najpierw złożyć examen doktorski, gdyż

dla nas kobiet nie zniżą pewno baryery, przez którą mężczyzna istota uprzywilejowana musi przeskoczyć. Bądźmy więc najpierw doktorami. Ja zaczynam, niech inne idą za mną a skoro utworzymy grono poważne, powiemy zaborcom miejsc do których dążymy: mamy prawa takie jak mężczyzn, ponieważ umiemy jak wy łacińskie deklamacye. Chcecie daktyli i fig, oto są panowie: oddajcie nam chleb."

Powyższe rozumowanie zawiodło pannę Daubié do Sorbony, a raczej przed lyoński fakultet literacki. Sądziła, iż jej przykład wywoła ruch mogący mieć ważne następstwa w przyszłości. Nie wywołała go, ale spodziewać się należy że jej szlachetne i bezinteresowne poświęcenie, nie przeminie bez śladu.

Poznawszy charakter autorki, przejrzyjmy jej książkę.

Czy zapytałaś kiedy siebie, kochana czytelniczko, jak zrobić żeby będąc ubogą, z bogaciami się uczciwie? pewno nie. W każdym razie już tego pytania zadawać sobie nie będziesz, przeczytawszy książkę panny Daubié. Dowiesz się od niej, że próżno się kusić biednej niewieście o majątek; a kobieta z bogactwem przez swój przemysł lub talent, jest rzadkością tak wyjątkową, iż jej się nawet nie wciąga w rachunek. Wedle reguły powszechnej, kobieta staje się bogata dwojakim sposobem: biorąc męża albo tracąc rodziców.

Dla lepszego przekonania się o prawdziwości tego założenia, przejrzyjmy z panną Daubié źródło bogactwa mężczyzny i obaczmy które są przystępne kobietom. Jako francuzka, autorka zaczyna od administracyi.

Urzęda rządowe we Francyi nie są kopalniami złota, ale mężczyźni dostają jednak pozycye takie jak ministra, senatora, generała, biskupa, deputowanego, poborcy generalnego, prefekta i tym podobne, na których można żyć jako tako. Co się zostaje kobietom w tej gałęzi wyliczyć łatwo: sklepiki z tytoniem i sprzedaż biletów na drogach żelaznych. Wiadomo co przynosi sprzedaż tytoniu, sprzedając. Co mniej wiadomo, a co panna Daubié opowiada w rozdziale V tym, to nędza urzędniczek kolejowych. Administracya dróg żelaznych, macierzyńska jak wszystkie, jak wiele matek, niestety: daleko wyżej ceni synów swoich niż córki.

Przejdźmy do sztuk wyzwolonych.

Wiadomo że w wielkich miastach lekarze i adwokaci sławni, zarabiają tyle, że po pańsku żyć mogą. Nie ma miściny, gdzieby dwóch adwokatów przynajmniej i tyluż lekarzy i notaryuszów, nie znaleźli bardzo porządnego utrzymania. Wszystkie te posady należą do mężczyzn, ani jednej kobiety na nich nie ma. Nie ma też żadnej pomiędzy bankierami, finansistami, wexlarzami, ani jednej pomiędzy przemysłowcami i inżynierami.

Handel nie jest też kareryą otwartą dla kobiety. Te które stoją na czele domów kupieckich, zarządzają swoją ojcowizną, zachowują tylko majątek którego by zebrać nie potrafiły. Młodzieniec bez fortuny idzie na kupczyka, potem staje się spółnikiem, a nakoniec kupcem, właścicielem. W Paryżu to zwykła droga. Kobieta z jednakiego punktu wyszedłszy, wznieść się nie może. Nie ma zwyczaju żeby kupiec dawał syna pannie sklepowej, czasem ją jemu daje, ale to inna sprawa.

Kobieta w zawodzie handlowym zostaje tedy przybita do pierwszego szczebla drabiny.

Artyzm i nauczycielstwo nie często jej w pomoc przychodzą, bo talent jest równie rzadki u mężczyzn jak u kobiet: artysta pierwszorzędny (a taki tylko coś znaczy) zawsze wyjątkiem. Panna Daubié wykazuje nadto, że artysta płci żeńskiej ma nieskończenie większe trudności do zwalczenia.

Nauczycielstwo jest rzeczywiście jedynym rzemiosłem po za obrębom robót ręcznych, które przedstawia kobiecie ubogić stanowisko wyższe. Ale jakże wielkie przykrości ono daje, a jak mały zarobek. Kobieta poświęcająca się wychowaniu elementarnemu we Francyi żyje w niedostatku, prawie w nędzy: podobnie nauczyciel. Tak to powszechnie wiadome, że sama nazwa nauczyciela przywodzi na myśl obraz nędzy najgorszej, nędzy, która musi być niema i przyzwoitą. Pozycya tak zwaną w Polsce *madamy*, dyrektorki pensyi panien, nie jest też ani miła ani świetna, co też wiadomo. Z książki panny Daubié można się dowiedzieć szczegółów o tym zawodzie, który tyle pięknych zawiódł nadziei.

Przeszedłszy wszystkie pozycye dające majątek, znaleźliśmy wszystkie zamknięte dla kobiety, rzecz bolesna! Przejrzyjmy teraz te na których mogą wegetować.

Przegląd smutny! Praca kobieca wszędzie płaci się o połowę mniej niż męzka w témże samém rzemiośle i ro-zmiarze. Dowody są niezbite. Na dworcu kolei w Paryżu można widzieć kobietę sprzedającą bliety; obok niej siedzi mężczyzna pełniący jednaką służbę prostą, w której ani umysłowa ani fizyczna siła mężczyzny nie góruje. Owoż mężczyzna pobiera płacę prawie dwa razy większą niż kobieta. Rzemiosła dawniej wyłącznie niewieście, zagarniają mężczyźni. W Paryżu tak już są wyrugowane, że jąc się muszą samych niekorzystnych albo niezdrowych rzemiosł. Większość robotnic nie może się z zarobku swego wyżywić: zaledwie to wystarcza do odegnania nagłej śmierci.

Kto chce dowodów, liczb, faktów, historii prawdziwych a przeszywających, znajdzie takowe w książce panny Daubié. W Paryżu potwierdzenie jej wiadomości można dostrzedz na własne oczy. Panny kontuarowe zastąpili już w wielu miejscach mężczyźni, wielkie damy zamiast akuszerok używają akuszerów, zamiast szwaczek, szwaczy; w wielu domach pokojówkę zastąpił lokaj: ogromna ilość pań które tutaj pieniądze garściami wyrzucają, używają do posługi młodych chłopców, nigdy kobiet.

Porządek społeczny wyjścia z téj biedy nie rokuje. Kobiecie brak nietylko ogólnego ale specjalnego wykształcenia: we wszystkich rzemiosłach terminuje 10 razy tyle chłopców co dziewcząt. Fakt ten wszystko tłumaczy. Ale czyjaż to wina? Pewno nie młodej wyrobnicy, która nie rozporządza sobą w wieku stosownym do nauki. Wina to rodziny, która ma wiele na swoje usprawiedliwienie: dziewczę do obcych na naukę oddane, naraża się na niebezpieczeństwa, których wyliczać zbyt ciężka. Powtóre, dziecię płci żeńskiej powszechnie bywa zaniedbane. Jestto naturalny wynik przesądów słusznie czy nie słusznie istniejących względem kobiety: mało się ludzie po jój zdolnościach spodziewają. *Państwo* nie daje jój wychowania wyższego, jak mężczyźnie, sądząc że to daremny trud. Ojciec, matka nawet, nie wiele dla córki wymagają: u bogatych dość jeżeli ma pozory wykształcenia; u ubogich jeżeli zarobi tyle ile zje. To wystarcza i na tém przestają wszyscy, jakby inaczej być nie mogło. Ambicje i wymagania we wszystkich warstwach społecznych skierowane do syna.

Ciekawy byłby przedmiot do napisania książki, badanie rozmaitych przyczyn tej wzdargi dla kobiety, tak powszechniej, że nietylko każdy mężczyzna czuje ją do pewnego stopnia, ale nawet kobiety w ogóle wątpią o sobie i nie a nie na siebie wzajemnie nie rachują; jeżeli zaś mają godną zaufania przyjaciółkę, to dla tego jak mówią, że posiada *mężkie przymioty*.

Krzywdy przez mężczyzn wyrządzone kobietom, nie mało się przyczyniają do ich upośledzenia. Jestto jedna z ważnych przyczyn ich złej doli. Kobieta po wszystkie czasy była i jest celem żądzy, rodzajem pastwy, przedmiotem namiętności gwałtownej. Dopóki posiada aby odrobiny młodości, żyje w niebezpieczeństwie: napaść może przyjąć zewsząd. Ztąd ciągły brak swobody. Jeżeli kobieta majątna, to tylko przyjemnościom jej życia szkodzi; ale jeżeli uboga, jeżeli dla zarobku potrzebuje pozostawać w ciągłej styczności z obcymi ludźmi, ze stosunków tych mogą wyniknąć zgubne dla niej następstwa. Pomiędzy wyrobnicami a patronami, służącą i panem, zdarza się nawet w cywilizowanym przesyconym Paryżu, mnóstwo zajęć okropnych, które panna Daubié maluje bez przesady. Inni moralisci Jourdan, Mettre, Chamousset, Watteville, Tarbé — toż samo mówią.

Zresztą cyfry urzędowe stwierdzają prywatne świadectwa. Oto w kilku słowach prawda naga: rodzi się we Francji co rok 70,000 dzieci naturalnych; z tych 50,000 jest porzuconych, a kilka tysięcy zabitych przez matki z rozmaitem okrucieństwem.

Na tak smutny stan rzeczy panna Daubié podaje rozmaite lekarstwa: ale w jej książce równie jak w „*Wyrobnicy*” Jules Simona, nie znaleźliśmy żadnego gruntownego a mianowicie praktycznego sposobu zapobieżenia złemu. Jednak Polecamy „*ubogą kobietę*” czytelnikom naszym. Jestto jedna z najlepszych rozpraw ekonomii politycznej: moralista w niej nad ekonomistą góruje. Żywa, często gwałtowna, oburzona, szydercza, uczciwa do szpiku kości autorka, nader jest sympatyczna; nie znudzi nikogo, może gorszyć dewotki, ale dzieło nie mniej przeto na korzyść ogółu wychodzi. Czytając je, nasuwa się uwaga, że z nas jeszcze okrutni barbarzyńcy, kiedy naszą piękną połowę w tak nieszczę-

śliwych warunkach trzymamy, nie bezwiednie: proszę nam pokazać mężczyznę, który gdyby można było plec sobie wybierać, chciał się narodzić kobietą?

Wydawnictwo dzieł zupełnych Jana Reynaud postępuje bez przerwy: Wyszły już „*Questiones encyclopédiques*” w dwóch tomach i „*Lectures Variées*” w jednym tomie: drugie trzy tomy wyjdą z druku przed zimą.

Zanim zdamy sprawę z tych burzliwych utworów oświeconych błyskawicami geniuszu, przedstawimy czytelnikom autora, który był człowiekiem niepospolitym, należącym do tych co jawią się jedynie w nadzwyczajnych okolicznościach.

Sceptyczny grunt francuzkiego umysłu przeplatany bywa warstwami pierwszorzędnego idealizmu. Około roku 1830 znalazł się tutaj zdumiewający zapas zapału: rewolucya odbyła się jego kosztem i wyczerpała go, jeżeli nie na zawsze to na długo. Wtedy wierzone w dokonanie wielkiego przeobrażenia rozpoczętego przez wielką rewolucyą; wierzone iż to przeobrażenie dokona się już nie za pomocą bagnetów, ale za pomocą słowa. Wiara ta szczerą i gorącą nabawiła synów Woltera bezprzykładnej w dziejach Francyi gorączki prozelityzmu. Czytając dziś na zimno to co mówiono na ówczas w zgromadzeniach Saint-Simonistów, zdumieć się musisz: św. Paweł nie z większym kazał przekonaniem ani nie mniej dziwacznym stylem.

Ażeby się wmieszać w to grono pracowników pierwszej godziny, Jan Reynaud porzucił swój zawód inżyniera górniczego, a z nim świetną przyszłość i przyjął z wiedzą zwykle losy apostoła, którego najmniejszym nieszczęściem jest brak słuchaczy.

Ze smutnego doświadczenia wiemy, że sekciarstwo zabija talent wraz z indywidualnością. Jan Reynaud należy do znakomitych uczniów Saint-Simona, a i on nawet nabrał złego nałogu niepatrzenia własnymi oczyma. Krótko pozostał pomiędzy Saint-Simonistami, ale to przejście było stanowczą chwilą jego istnienia: kierunek jego myśli, dzieło któremu życie poświęcił, związane ściśle z kołem francuzkiego nowatora. Wpływ mistrza musiał być bardzo mo-

cny, kiedy uczniowie do śmierci nie przestali wierzyć w rychłą a gruntowną przemianę społeczności z pomocą nowej religii. Ale kiedy inni adepci nowego kościoła zrzekli się na czas urzeczywistnienia swoich nadziei i powchodzili rozmaitemi drzwiami do istniejącego a potępionego budynku społecznego, Jan Reynaud chociaż w szkole protestant, za drzwiami pozostał.

Pierwszą potrzebą tego człowieka było służyć jakimś idei, chociażby złudzeniu. Rozwianie ukochanej myśli, powiększało jego gorliwość. Opuściwszy Saint-Simona przystał do republikańców, których nie jasne zasady otwierały szersze i praktyczniejsze pole działania dla człowieka dobrej woli. Z tego obozu Reynaud wnet przeszedł do innego który do jednakiego celu zmierzał: przystał do Piotra Leroux zamierzającego bez zaparcia się tradycji dawniej, wydawać *Nową Encyklopedyą*, któraby zbudowała tyleż ile tamta zburzyła.

Jan Reynaud, człowiek ruchliwy, zapalny, pełen najlepszych chęci, szedł kolejną sobie podobnych: przystawał do każdej chorągwi która wielkie wywieszała godło; przedsięwzięcie najryzykowniejsze, najpewniej na jego pomoc liczyć mogło. Nie ludzie go porywali, ale idee: skoro go idea zawiodła, łatwo się rozstawał z jednodniowymi przyjaciółmi, bo był przedewszystkiem człowiek prawy: nad braterstwo nie szczere, przekładał chociażby skandaliczny rozwód. Prawdę kochał, prawdy szukał i w tém zacność jego męskiej duszy.

Szukając prawdy, jak kwiatu paproci, przechodzi Reynaud ze związku w związek, w żadnym nowym składzie apostolskim nie znalazłszy prawdziwej wiary, miłości, ani nadziei. Przeszedłszy z końca w koniec wszystkie nowe wyobrażenia swojego czasu, zatrzymał się w swojej własnej doktrynie, równie niepewnej jak te które porzucił. Że już nie było gdzie iść, w dumnym osamotnieniu pozostał.

Poetyczne i nieszkodliwe pojęcia Jana Reynaud, będą zawsze orzeźwiającem źródłem dla marzycieli: wpływu rzeczywistego nie wywrą. Nie są dość ściśle dla umysłów które się tylko sile demonstracyi poddają; zbyt obszerne pole otwierają do dyskusji ogółowi, który chce być pod-

bity a nie przekonany; umysły zaś pragnące się zadowolnić, drażni ta mieszanina nauki i marzenia, co zamiast ukoić niepewność, wątpliwości mnoży.

Trzy tomy które obecnie wydano p. t. „*Kwestye encyklopedyczne i Rozmaitości*” streszczają wszystkie wyobrażenia Jana Reynaud. Złożone po większej części z artykułów ogłoszonych w *Nowej Encyklopedyi* i *Magazynie Malowńczym*, rzeczy nie drukowanych mieszczą mało. Z prac tych wybija niepoślednia zdolność i obszerna wiedza, wybija mianowicie jeden z najpiękniejszych charakterów jakie wydała Francya tegoczesna.

Ludzi szczerych, jeżeli sprawiedliwymi względem nich być chcemy, trzeba oceniać czasem wedle ich pragnień, nie wedle dokonanej pracy. Do takich należy Reynaud. Z czynów jego nie poznajemy go. W dziedzinie nauki zostawił znakomite teorye; w dziedzinie filozofii i literatury pięknej anielskie *pia-desideria*; w zawodzie politycznym nie zostawił głębokich śladów i będąc administratorem, deputowanym, radcą stanu, nie przeprowadził żadnego stałego ulepszenia.

A jednak była to niewątpliwie natura pierworzędna. Powierzchnowość jego silna i wykwinтна, zwiastowała duszę i nie zawodziła: Jan Reynaud był myślicielem, dla tego brak czynów wybaczyć mu należy.

Zdanie to rozwinąć widzimy potrzebę. Nie mało dziś ludzi lubiących oddzielać myśl od czynu, zachowujących sobie pierwszą, a gardzących drugim, jako zadaniem niższém. Słyszac ich rozprawiających, porównywając ich pretensye z ich osobami, wiedząc że nic nie wymyślili, chociaż nic nie robią tylko myślą, możnaby przypuścić że myśliciele są niedołęgami, a w najlepszym razie pasożytami.

Na szczęście, jest drugi rodzaj myślicieli. Dla Jana Reynaud myślenie nie było zamówką do próżnowania: w myśli widział on jedynie narzędzie szlachetnej duszy, wierzył że coś dobrego dla bliźnich wymyśli, i dla tego myślał, nie dla tego jak często bywa, żeby uchodzić za myślącego. Obdarzony rozmaitemi zdolnościami, mógł być znakomitym geologiem, geometrą, archeologiem lub dziejopisem; porzucił to wszystko dla kształtowania myśli ogólnej, którą mniemał ludzkość ulepszyć. Reynaud do wysokiego stopnia

posiadał także odwagę moralną, która niczem inném nie jest, jeno buntem prawego ducha gotowym zdeptać wszystkie ludzkie względy, skoro o sumienie chodzi.

Od wagę wojskową miał wrodzoną: im większy był przeciwnik, tém on chętniej podnosił rzuconą rękawicę. Kilka pięknych kart w swoim dziele poświęcił wspomnieniu młodego porucznika Bellot, który należał do wyprawy szukającej kapitana Franklina zgubionego wśród lodów. Znać że mu autor zazdrości walki z żywiołami, że chciałby być na jego miejscu.

To usposobienie tłumaczy namiętne zamiłowanie Reynauda do niebezpiecznych podróży po górach. Wdzieranie się na gór szczyty porównano trafnie do przyjemności jaką daje gra: w takiej wędrówce człowiek znajduje powaby gier wszelakich: rozbudzenie życia, jak w grach bieganych; kombinacye mądre i śmiałe, jak w sztukach; odwołanie się do fortuny, jak w grach hazardownych. Wdzieranie się na górę ma nadto powab moralny: myśl rozszerza się wraz z widnokresem, duch w czystej atmosferze urasta; wyobrażenia mówi tém głośniej, im więcej cichną hałasy życia.

Reynaud kosztował tego wszystkiego, ale najwięcej go radowało poczucie siły moralnej zwyciężającej przeszkody. „Nie chcę przewodnika, mówi, busola i kij mi wystarczą; sam kroczyć będę po tej wzniosłej pustyni, wolny jak orzeł, aż cała ta granitowa nawałnica pod nogami moimi zostanie.”

Człowiek ten silny i odważny, tkliwy był jak kobieta. Litość dla wszystkiego co cierpi, była sprężyną jego życia, podstawą jego praktyki, zasadą jego filozofii i religii. Wszystko złe świata tego, dolegało mu osobiście. Ulżenie obarczonym, dochodzenie praw zapomnianych, stanowisko niewiasty której święty urząd uznawał w rodzinie, nieustannie głowę jego zaprzętały. Nie ograniczając swojego współczucia do ludzkości, był przyjacielem zwierząt, bratał się z całą przyrodą; „płacz wszechrzeczy” go wruszał; domniemana niedola rośliny skłaniała go do poświęcenia. Raz, ujrawszy na szczycie stromiej alpejskiej skały oderwany od niej i wiszący nad przepaścią krzaczek, poszedł mu na pomoc. Oto jak o tej wyprawie w podróżach swoich wspomina.

„Biedny samotny krzaczek wiehrem szarpany, sprawił mi wrażenie wygnańca. Poszedłem go ratować: dla czego! nie wiem. Droga była trudna, ale dotarłem, wkopałem wyrwane drzewko i pocałowałem je. Tego krzaczka żaden oddech ludzki nie dotknął i żaden więcéj nie dotknie. Czyż znajdzie się dwa razy podróżny, który dla twéj miłości, mój krzaczku, zechce narażać życie! Skoro zeszedłem bogaty wspomnieniem danego szczęścia, przyjaciele rzekli: „Janie, jesteś nie rozsądny! Czy chcesz się zabić?” Nic nie odpowiedziałem. Na co? Nie byliby mnie zrozumieli.”

Do tego charakterystycznego rysu, dodajemy konkluzją następującą: Reynaud jestto człowiek szczytny, będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań; jestto wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz nędznych ludzi, o których przyjaciele piszą czém być mogli, o których nie znajomi mówią że nie byli niczém.

Nowo wydana przez pp. Goncourt książka pod tytułem „*Idées et Sensations*” nie jest książką ale raczej teką pełną szkiców, obrazków, rysunków robionych piórkiem i czerwoną kredą, jest planszą na którą artysta rzucił myśl swoją, swoją werwę nie dawszy jéj ostygnąć. Można w téj tece znaleźć wiele rzeczy miłych oczom, wiele do myślenia pobudzających kartek fantazyi prawie muzykalnych. Całość czyni wrażenie artystycznej schadzki w pracowni: przy fortepianie roztargnioną poruszany ręką, toczy się rozmowa dowcipna, wyszydzająca śmieszności, jednocześnie, z rąk do rąk przebiegają karykaturki, portreciki, rzucone na papier od niechcenia, a trafnie.

W téj rozmowie i w tym muzykalnym wtorze, wiele fałszów i zdań rażących, które starannie wytknął pan Sainte-Beuve w pochwalnym artykule poświęconym rozbirowi téj książki Goncourta. Skoro, na przykład, czytasz wyrok taki: „Starożytność na to istniała, żeby dać chleb profesorom” książka wypada ci z ręki. W odpowiedzi na taki wybryk możnaby libré papieru zapisać; nie zajmując się wyłącznie *ideami i uczuciami* braci Goncourt, powiemy tylko, że należy się wyrażać z większém uszanowaniem kie-

dy chodzi o starożytność, zbiór arcydzieł wiekami uświęconych, bez których nie mogła powstać żadna godna téj nazwy oświata. Wstręt do starożytności tak dziwnym się wydaje u pisarzy utalentowanych, że go przypisać trzeba koniecznieniu nieznamomości potępianych rzeczy. Nicodrodni synowie swojego wieku, zajęci badaniem rzeczywistości, Goncourty nie mieli ani ochoty ani czasu poznać starożytnego świata; w tym przedmiocie na wspomnieniach szkolnych poprzestali, albo na złych przykładach. Być także może, iż pseudo-klasyczna literatura nieudolnemi kopijami zasłoniła im wzniosłe wzory.

Obrazowość w książkach Goncourtów góruje: nie piszą, ale malują, często miniaturowym sposobem. Rzeczywistością krwawą lubią przeplatać sielanki, sprzeczności miłują jak Wiktor Hugo. Ciekawa ich wyobraźnia jako potworek chiński czołga się i fruwa: mając szpony i skrzydła, od subtelności do okropności przechodzi, równie chętnie spadając na kwiat jak na trupa. Wyszedszy z buduaru pani Pompadour lub pracowni Watteau, w podziemia tegocznego Paryża zapadają, wyszukując w nich nocnego patrolu à la Rembrandt. Szczęśliwi skoro spotkają malowniczego odartusa, albo jakieś fantastyczne wnętrze w ciemnym zaułku Paryża, opiszą je jak policyant-artysta. Wszystkie ludowe typy paryżkie znajdziesz w ich książce: *les forts de la Halle*, parobcy herkulesowych kształtów w krótkiej bluzie, szynkarze byczęj postury; wychudłe szewcy: pułkowi fehmistrze z marsową miną, woźnice, *egutiers*, rzeźnicy i gałganiarze. Obok tych mężczyzn, kobiet dwa rodzaje: otyła restauratorka i dziewczyna wyrobnica, szczupła, blada, wiotka a wytrwała i odważna jak żołnierz.

Opisy bali publicznych w tece Goncourtów jaskrawo błyszczą: obserwacye tu koloruje oburzenie. Następujący kawałek da pojęcie o ich stylu; mowa o gwiazdach półświata.

...„Kobiety te, umęczone ryzanym pyłem, białe jak kreda, z ustami pędzlem umalowanemi na ponsowo; kobiety te pociągnięte śmiertelną cerą z uśmiechem krwawym na bladej martwej, z okiem wywęglowanem, ożywionem gorączką, z włosami sztucznie kręconemi jak astrachański baranek, które myśl im i czoło zjadają; z twarzą oblakaną

lub chorą, kobiety te wydają się widmami i bydlętami uciechy. Dziwnie podobny do upiora i zwierzęcia ten nowy powab przesyconych pragnień! Oglądałem je w *Casino*, i ich tancerzy oskubanych, nędznych, żalobnych, marnych, z krepą na kapeluszu, z pustką w sereu i w kieszeni. Taniec tych kobiet, ich ruchy i wejrzenia, nie tylko są nieskromne, ale bluźniercze. Wszystkie bezceństwa paryzkiego szwargotu, wszystkie uliczne szyderstwa przeciw miłości, wszystek brudzący ją cynizm—ta kobieta, to ciało, ta suknia zdawały się mówić tobie i tańczyć.”

Toż to skalpel nie pióro! Oceniając należycie talent i przenikliwość Goncourtów, wyznać trzeba że ją posuwają za daleko: zapominają, że sztuka tam się kończy gdzie się zaczyna fotografia; że rozbiór charakteru lub żywota, nie powinien wkraczać w obręb dyssekcji; że są typy i rzeczy których pisarz wystrzegać się powinien jak żyd wieprzowiny, bo te typy i rzeczy nie do niego należą i że żadna puryfikacya stylu ich nie oczyści; że trzeba je odesłać do szpitala do którego należą, do chirurga którego są poddanymi.

Cóż powiedzieć zresztą o tych dwóch płodnych i modynych pisarzach? Chyba że do zjawisk należą, przypominają braci Siamskich żyjących jednem życiem. Ów potwór natury w swoim czasie wywołał w Paryżu taki podziw, że nawet, co się nie zdarza, sentymentalnie go analizowano, troszczono się czy śmierć naraz obu zabierze? dowodzono, że to jest jedna indywidualność z dwoma głowami. Na tém pojęciu Jules-Janin osnuł ładną swoją powiastkę: „*Un coeur pour deux amours.*”

Co do nas, ilekroć piszemy nazwisko Goncourtów, zawsze nam bracia Siamscy na myśl przychodzą, tą razą jedność jest jeszcze dziwniejsza: nie fizyczna ale moralna. Niemniej ona od pierwszej zupełna, gdyż czy mówią, czy piszą, autorowie *Henrietty Marechal* są nierozdzielni. Skoro pisali artykuły do dzienników, zawsze podpisywali się na jednej linii; skoro wydają książki, obaj pod jedną chowają się okładkę; skoro dramat przedstawia, dla publiczności są jednostką. Zlanie dwóch organizmów i myśli bliźnich, nigdy jeszcze w tak zupełnej nie pojawiło się harmonii. Dwoistość taka może zaostriżyć ciekawość psy-

chologa. Bichat i Broussais, którzy badali człowieka nie tylko w jego ciele i kościach, byliby się pewnie zastanawiali nad tém pokrewieństwem dwóch duchów, z których jeden zaczyna okres, a drugi mechanicznie kończy. W cóż się obraca system frenologiczny Galla i Spurzheima, oparty na osobowości, w obec tych dwóch mózgów osobnych i odrębnego kształtu, których wszystkie wyroby ze znakiem jednej wychodzą fabryki.

Edmund i Juliusz Goncourt, są braćmi jak Agamemnon i Menelaus, nie bliźniętami jak Kastor i Pollux. Synowie szlacheckiej rodziny, starannie wychowani, starannie ubrani, uprzejmie przyjmowani w najpierwszych salonach Paryża, tém się tylko różnią, że jeden wyższy a drugi niższy. Obaj jednocześnie wystąpili na tutejszej widowni literackiej 1849 roku. Pisali artykuły krytyczne i fantastyczne do przeglądu „*Błyskawica*.” Z tego pisma przeszli do ilustrowanej gazety która tu wychodziła pod tytułem: „*Paryż*” przed piętnastu laty. Porzuciwszy ten dziennik, zaczęli pisać książki i dramata, o których nieraz już mówiliśmy na tém miejscu w miarę jak się pojawiały. Najpierwsze były znakomite, późniejsze znacznie słabsze, a ostatnie wątle i chorowite, chociaż nie bez wdzięku.

Po tém cośmy powiedzieli, możemy już tylko powtórzyć ogólne zdanie Paryża, że panowie Goncourt są pisarzami moralnymi, zdolnymi, wykwintnymi i będącymi w drodze do nieśmiertelności, czyli do akademii francuskiej.

Akademik Laprade wydał książkę pokrewną Quinetowego: „*Génie des religions*” pod tytułem: „*Le Sentiment de la nature avant le Christianisme*.” Quinet napisał historią myśli religijnej; poeta-filozof Laprade, bada poczucie natury w jego kolejnych objawach, które rozmaitemi sztukami są.

Do okresu wschodniego należy architektura, do greckiego rzeźba; do chrześcijańskiego malowidło: do nowoczesności muzyka.

Muzyka jest zdaniem Laprada, *najmateryalniejszą* sztuką: nie może służyć jak rzeźba i malowidło do wyrażenia duszy rozumnej; zamiast oddawać działalność człowieka

w pełni jego umysłowej potęgi, oddaje jedynie jego namiętności. Dlatego muzyka jest sztuką nowoczesną, powstałą z dziwnego przeobrażenia.

Chrześcianizm, mówi Laprade, ogłosił że prawdziwem życiem jest śmierć ciała. Ztąd powstał rozbrat nauk przyrodzonych z teologią. Później nastąpiła reakcja. Pomimo chrześcijaństwa badano i obserwowano naturę, a ponieważ teologia jej się wyparła, nauka wyparła się teologii. Przemysł jest kultem nowego dogmatu. Ideał przepadł, przepadła dusza i pojęcie całości. Muzyka jest sztuką odpowiadającą takiemu stanowi dusz, „gdyż sama jedna z pomiędzy wszystkich nie posiada enoty nauczającej, płodzi same wzruszenia odcięte od moralnej prawdy, nie mówi nic o rozsądku, nic o Bogu, nic o celach ludzkości.”

Z tego cośmy dotąd przeczytali a co jest treścią dzieła, jedynie jasną dla nas rzeczą, iż szanowny akademik nie lubi, i nic a nic nie rozumie muzyki. Krytyka zbyt łatwa, żebyśmy się o nią kusić mieli. Nie zachęca też do czytania kombinacja myśli ciężka, zawila, a paradoksów pełna... W prostą głowę z trudnością to wchodzi. Ztąd poszło żeśmy dopiero przeczytali *introdukcyę*, w której autor kresli historią powszechną ewolucyi sztuki i poczucia natury. Samo dzieło stanowi poszukiwanie wyrazu poczucia natury w wielkich poezjach narodowych. Epopee indyjskie, Biblia, Zend-Avesta, Persya, Chiny, Grecya i Rzym stary, przesuwają jak w czarnoksiejskiej latarni. Autor głównie grzeszy tem samem co dziś wszyscy pisarze francuzcy pierworzędni: bierze zbyt wielkie ramy, których ostatecznie przy sporym nawet zapasie wiedzy, niepodobna zapelnąć jednemu człowiekowi. Erudycyi brak uderza w ostatniem dziele Laprada, nawet nie uczonego czytelnika. Niedostatek wiadomości do obrobienia tak ogromnego przedmiotu, francuzki akademik pokrywa poezyą opisową, dość miłą: znać że kocha przyrodę a piękności jej rozumie lepiej niż muzykę.

„*Affaire Clemenceau-Memoire de l'accusé*“ ostatni utwór Dumasa syna, osnuty na zdarzeniu prawdziwem, które tu miało rozgłos przed trybunałami, w innym czasie byłby zwrócił uwagę, wywołał pewno żywe polemiki; podczas

wojny wyłącznie zajmującej umysły, przeszedł niepostrzeżony. Choć treść powieści żywcem wyjęta z *Gazette des Tribunaux*, a figury główne powyjmowane z romansów sławnych, *Affaire Clemenceau* w czasie nieurodzaju literackiego do najlepszych kasków należy. Osnowa w kilku słowach da się opowiedzieć. Clemenceau zabił niewierną żonę swoją, Polkę; sędziowie przysięgli uznali go niewinnym.

Tyle jest prawdy. Osoby nie są z natury malowane ale z książek. Piotr Clemenceau jest synem Juliusza Sorel stworzonego przez Stendha'a. Iza Dobronowska jest córką Rebeki Becky, Thackieraya. Oto są prawi rodzice tego dziecięcia nowo narodzonego w pracowni Dumasa. Ojcem chrzestnym jego jest Balzak; chrzestną matką pani Bovary. Styl jest silny, dowcipny i siekący. Rzekłbyś że autor wyklada kurs chirurgii literackiej, z katedry professorskiej tłumaczy cięcia skalpeli zastosowanego do powieści, teatru i filozofii.

Wartość książki czy odpowiada dawanym jej pochwałom? Na to pytanie po namyśle, odpowiadamy przecząco. Dla czego? dowiedzimy, rozbierając główne założenia autora.

Paweł Clemenceau przychodzi na świat z pierwotną plamą na czole: jest dziecięciem nie prawem. Syn nigdy nie słyszał o swoim ojcu. W oczach matki ojciec Pawła jest podłym. Należy on do bardzo licznej rodziny nieponiów, którym świat nic nie ma do zarzucenia, ludzi nie mających odwagi wyciągnąć ci z kieszeni woreczka, ale gotowych zawsze ukraść ci wierność żony albo niewinność córki.

Matka Pawła uboga szwaczka, zbyt dumna jest żeby poszukiwać mężczyznę nie znającego swoich obowiązków; sama więc bierze na siebie ciężar kształcenia syna, i daje mu wychowanie staranne. Ale nie może z niego zdjąć winy, za którą się sama wstydzi. Paweł ma talent, dar Boży, ma wykształcenie, dar matki, ale nie ma tego co jest własnością każdego mężczyzny: nie ma nazwiska, a matczyne miano sromotnie nosić pośród ludzkich przesądów. Paweł rumieni się, zanim wie dla czego. Dzieci wżgardliwe papugi, powtarzające niebaczne słowa starszych, wytykają go palcami i bawić się z nim nie chcą.

Cierpienie dobrego i przedwcześnie rozwiniętego chłopca, dostarcza Dumasowi przedmiotu do poruszania najwięcej palących zadań społecznych. Gorzka wymowa autora *Pół-swiata* ma tu obszerne pole. Młody Dumas chociaż w tych samych warunkach będąc nic podobnego nie doznał, tak się przejmując rolą podrzutka, że najrozpaczliwiej maluje los dzieci nieprawych.

Z pensyi p. Firmin, gdzie pierwsze odebrał nauki i upokorzenia, Paweł przechodzi do pracowni rzeźbiarza Ritz, gdzie chociaż jeszcze bardzo młody, obiecujące tworzy dzieła.

Miłość ukazuje mu się pierwszy raz w karnawałowym przebraniu: u literatki, pani Lesperon, na balu, poznaje 16-toletnią Izę Dobronowską w kostiumie pазia, obok matki, polskiej hrabiny; typ nowy, który przybył na pomoc omdlałemu romansowi francuzkiemu. We krwi Izy złożone wszystkie zarodki złego przez ojca amerykańskiego Don-Juana i matkę kurtyzankę kosmopolitkę. Przewrotne instynkta, które z dwóch źródeł życia swojego wzięła, tworzą z Izy arcydzieło zepsucia.

Tu położona główna teza książki. Dumas jasno i energicznie oświadcza się za solidarnością ludzką dziedziczną, która chce, żeby dzieci dziedziczyły cnoty i zbrodnie swoich rodziców.

Tu znów wprost odwrotny mając przykład w sobie, jako żywe przeciwstawienie własnego ojca, Dumas syn mimo to, przeprowadza fałszywe założenie aż do ostatecznego kresu, który ludzką wolę i rozsądek pochłania.

Paweł odziedziczył namiętności ojca, a cnoty matki. Dobre instynkta w nim nad ziemi górują: jest dobrym synem, dobrym mężem, dobrym ojcem i dobrym przyjacielem. Raz jeden tylko złe bierze w nim górę, ale ten jeden tryumf maże wszystkie cnoty; jest zbrodnią: Paweł zabija żonę.

Dumas chcąc zbyt jasno odznaczyć prawdę ludzką i społeczną, wezwał na pomoc starożytnego fatum i za nowe podał je postrzeżenie.

Nie nowina, że dziecko ma coś z wad i przymiotów rodzicielskich; ale ma nadto swoją wolę i swój rozsądek, a mianowicie ma daną sobie przez Stwórcę *zdolność dosko-*

nalenia się. Gdybyśmy kroczyli w przeznaczeniu po ciemku, bez téj broni która zwie się *wolą naszą*, nie czując swobody iścia w tę lub ową stronę, nie mielibyśmy własnego istnienia. Jeżeli rodzice mogliby nas że tak powiem, wypchnąć za drzwi nas samych, gdzież byłaby nasza zasługa? gdzie zadanie? gdzie przyczyna bytu? Po cóżbyśmy przychodzili na ten świat? Za czyje odpowiadali czyny?

Nie chcąc z powodu téj bajki, poruszać mimochodem zbyt ważnych kwestyj, nie chcąc wychodzić z dziedziny fantastycznój, w której Dumas zamknął dwoje bohaterów swoich, stosując myśl do książki, uczynimy tylko jedną uwagę: gdzie byłaby nauka moralna téj powieści, jój doniosłość, prawda której autor chce dowieść, niebezpieczeństwo które chce zażegnać, gdyby jego założenie moralnój sukcesyi po rodzicach, było prawdą? Gdzie byłby nawet żywioł dramatyczny na walce oparty, gdyby podobnie jak matka co dziecko swoje *niebieskiemu* albo *białemu* kolorowi *ofiaruje, przeznaczenie* ludzi piętnowało krwią lub błotem, gdyby fatum nad kolebką nowonarodzonego mogło wyrzec niezmienny wyrok: ty będziesz czartem, a ty aniołem?

Akademia nauk społecznych odbyła doroczne posiedzenie pod prezydencją Ludwika Wołowskiego. Prezes zdał raport z rozdanych nagród za dzieła do konkursu naznaczone. Żadna większa nagroda nie została przyznana całkowicie, dzielono na 2 i 3 części; żadne albowiem z wypracowań nie odpowiedziało wymogom akademii.

Po Wołowskim, Mignet zabrał głos i odczytał studjum Alexego Tocqueville i dzieł jego. Tocqueville był członkiem dwóch akademij: jako literata powołała go do swojego grona akademii francuzka; jako publicysta obrany został na członka akademii nauk społecznych. Do tego ostatniego zaszczytu zupełne dało mu prawo dzieło jego o *Stanach Zjednoczonych Ameryki*. Wysłany tam przez rząd, celem zbadania zakładów karnych Nowego Świata, poznał jego instytucye, i jako wzór do naśladowania krajowi swojemu postawił amerykańską republikę. To dzieło jego jest katechizmem demokracji francuzkiej. Z jój stanowiska zapatrywał się Mignet i z powodu Tocquevillà skreślił apolo-

gią Ameryki. Wolnomyslną jego mowę często przerywały oklaski, gdyż publiczność akademii nauk społecznych składa się z ludzi postępowych mających wyobrażenia zupełnie inne jak te, które w akademii francuskiej przeważają. Z pięciu akademii z których instytut francuski złożony (akademia francuska, akademie nauk, akademie napisów, akademie sztuk pięknych i akademie nauk społecznych) jedna tylko akademie nauk społecznych całkowicie duchowi czasu swojego odpowiada.

— Hetzel wydał „*Podróże nadzwyczajne*.” Są to pięćnie illustrowane wszystkie dzieła Juliusza Vernesa: „*Pięć tygodni w balonie*” „*Przygody kapitana Hatterasa*” „*Podróż do środka ziemi*.” „*Z ziemi na księżyc*.” Przystępna ta nauka wiele zyskała na ozdobie plastycznej, dokonanej starannie przez jednego z najlepszych rysowników paryżskich, pana Riou.

— W tejże księgarni wyszła także zajmująca książka napisana przez państwa Bourboulon „*Recit du Voyage en Chine et en Mongolie*.” Podróż odbyta w r. 1860 i 1861, zawiera mnóstwo nieznanych szczegółów.

— Wydano pośmiertne dzieło p. Geruzez p. t. „*Mélanges et pensées*.” Jestto zbiór studyów sławnych ludzi francuskich z przeszłego wieku. Przedmowę napisał Prevost-Paradol.

— Pan Demogest wydał zupełny przekład wierszém *Farsali*: ma być bardzo wierny.

— Pan Lock napisał ludową historią *Dziewicy Orleańskiej*. Życiorys ten wchodzi w skład *Biblioteki użytecznej*. Pogląd autora czysto demokratyczny. Pan Lock składając na kogo należy odpowiedzialność powtórnego rozwiązania tego dramatu, nie Anglików, ale intrygi księża obwinia.

— Autor znakomitej książki „*L'idée de Dieu et ses nouveaux critiques*” pan Caro, wydał zajmujące studyum *Filozofii Goethego*. Rozbiór tej książki zasługującej na uwagę, podamy w przyszłej naszej kronice.

